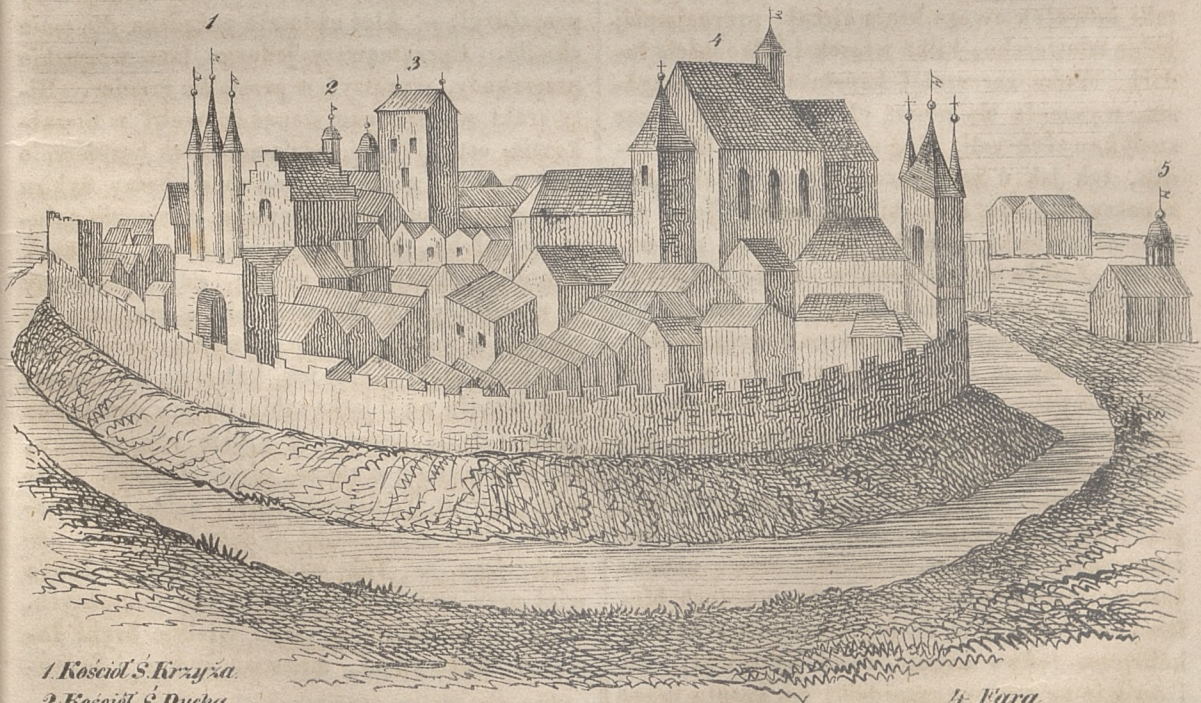


Mr. 5. Hon. 1

J A C
L U D U .

Leszno, dnia 29. Stycznia 1848.

Wycieczka nad Wartę. — Wolter i Polska. — Bł. Prandota z Białaczowa, Biskup Krakowski (ciąg dalszy). — Treść zeszytu pierwszego, roku trzeciego pisma miesięcznego: Kościół i Szkoła.



1. Kościół Ś. Krzyża.
2. Kościół Ś. Ducha.
3. Ratusz.

4. *Paro.*
5. *Kościół Ś. Leonarda.*

Štupeti roku 1705.

Wycieczka nad Wartę.

Od lat młodości, kiedym po raz pierwszy zbliża widział granicę królestwa, było życzeniem mojem, przejść ową linią wytkniętą rowami, kopcami i rzędem słupów, na których królowie ptaków osiadły i z wyciągniętymi szpony a zazdrośnym okiem czuwają i strzegą piędi ziemi, której nie zorały, kawałka boru, którego nie zasiali, lub bieżącej wody, którą Pan Bóg dla wszystkich wyprowadził z źródła, której święta ziemia nikomu nie zazdrościła. Gdym stanął z tej strony Drwęcy, spoglądając na tamten brzeg, na tamte wzgórza, których nie wolno było tknąć nogą, jako częstek innego kraju, częstek ogromnego carstwa, gubiącego się w stepach Azji, w śniegach Sybiru, wtedy boleśnie się w sercu zrobiło. Marzyłem jako chłopiec. Czemuż nie mam zapędzić się w ową stronę choćby motylem za nowym jakim kwiatem, którego mi nie dostaje w zieleńniku? choćby dla oglądania tamtych ludzi, tamtych wiossek i tamtejszego nieba? Któż śmiał te wody uczynić nieprzestępnymi? kto pomiędzy sąsiadami uczynił rozbrat? Żebym przynajmniej na te wzgórza piaszczyste dostać się mógł, które mi widok zasłaniają ku wschodowi; żebym aby jaki taki kawałek owego kraju ujrzał; przynajmniej jedno miasteczko, kilka wiossek i kilkanaście ludzi! Wtém zaczerniał kapelusz z poza wzgórza, wysunęła się postać chłopka, który, orząc swój kawałek roli, pług nakręcał. Widzę bydlę, tak jak u nas bywa; chłopiek, jak jeden z naszych. Ale cóż, kiedym mowy jego nie słyszał, wioski, miasta, pól, borów nie widział! Znikła postać rolnika — nic nie pokazało się z tamtej strony, ni jeden ptaszek — tylko czarny krzyż, zapewne na rozstajnej drodze, wysoko w niebo ramiona swoje podnosił i smutno patrzył na Drwęcę, która bystrym pędem i dziwnie szemrząc spieszyła gdzieś pomiędzy wzgórza i łąki, daleko, daleko, aby się rzucić w łonie ogromnej Wisły i zginąć w niej, jak sława nieznanych praojców we mgle starożytności. Dumając, drogą piaszczystą wracałem do miasta, samotny wśród samotnych bielew, na których z drobnych trawek i mchów kobierzec ledwo nagość ziemi pokrywał. Tu i ówdzie purpurowe gwoździki jak krople przełanej krwi i blade siarczyste główki dryakwi kołysały się od wieczornego powiewu.

Od owego czasu wiele lat upłynęło; granica królestwa przedstawiała się wyobraźni mojej jako Grekom Afrykańskie Syrty, albo Morze galaretowe, co zasłupami Heraklesa, czyli cieśniną Gibraltarską, bierze początek i jest jakby krańcem mieszkalnego świata. Słyszac nieraz o oprzetrasaniu, jakiemu podlegają przebywający granicę; o argusowych oczach strażników, których nic nie ujdzie, które przenikają najskrytsze zakątki kuferków, kieszeni i szat; słyszac o polowaniu szczególnie na książki i o wszystkich owych nieprzyjemnościach i brutalstwie, dziejącem się na komorach Rossyjskich; sądziłem, że łatwiej przebyć cichaczem mur Chiński, niż granicę królestwa. Strażnik Rossyjski w oczach moich był to cerber, (*) prawdziwy, na którego widok biedna dusza z zagranicy truchleje.

Austryackich strażników jużem był poznał. Byli w strzelbę opatrzeni, i jak mi się zdawało, mieli na czole i twarzy piętno, że tak powiem, owych uczciwych ludzi, którzy czuwają nad moralnością publiczną, i czyny, słowa i myśli, sprzeciwiające się dobru ogólnemu, tropią; zresztą na brutalstwo ich nie miałem przyczyny narzekać, owszem, pamiętam, że kiedym w latach studenckich przebywał góry na pograniczu Czeskiem, jeden się nam dobrą radą przysłużył. — Aleć nadeszła pożądana dla mnie chwila. Uprzątnąwszy jednego lata wszystkie przeszkody, wyruszyłem prosto ku granicy. Bity trakt wkrótce nam stanąć dozwolił w Strzałkowie, ostatniej wsi, gdzie człowiek bezpiecznie spać może, i gdzie mu powabne obrazy Sybiru i Kaukazu snu nie przerywają; gdzie nie polują na człeka, kiedy 17ty rok życia, poranek wiosny, zakwita dla niego; gdzie obleczoney w mundur, nie z płaczem, nie w rozpacz się rozstaje z rodziną i domem, widząc przed sobą 20.-letne męki i kres ich, kalectwo lub śmierć; lecz wesoło na 3 latka sobie idzie z domu, aby świat i życie poznać w gronie rówieśników, nie kłopotac się o zimno, głód, choroby. Igraszką jego trudy, uszanowanie i dobre imię, nabycie wielu wiadomości i doświadczenia, nagrodą jego. — Tak więc Strzałkowo, długa wieś przy zwirówce, przyjęła nas podróżnych. W karczmie nieustanny ruch; wielkie bryki ładowne około stajni, mnóstwo żydów i furma-

(*) bajeczny pies o trzech łbach, strzegący bram piekła, według mitologii Greków dawnych.

nów, kupców i wędrowników, uwijało się na końcu wsi, tuż pod komorą celną, która obszernymi gmachy swemi i rogatkami po lewej stronie zwirówki szeroko się rozpościera, smutny dowód rozerwanego narodów węzła braterskiego i piętno panowania mamony na tym tu biednym świecie. W karczmie jeden pokoik niby meblowy służył nam dla wypoczynku i pocieszenia się. Na ścianach obrazy święte, sceny z wojen Napoleońskich i krajobrazy Śląskie wisiały; w izbie gościnnej gwarno i wesoło; gospodyni, figura poważna, z wrodzoną Polkom uprzejmością, bez przesady i bez rubaszości, baczyła na usłużenie i wygodę gości tak rozmaitych; a spostrzegłszy broń, którąśmy mieli z sobą, radziła, aby ją zostawić na gościńcu, gdyżby za granicą mogła nas nabawić nie jednego kłopotu. Także kilka książek za jej radą zostawiliśmy u niej, aby mieć spokojność i nie narazić się na niepotrzebną stratę. Z resztą dowiedzieliśmy się, iż przemycanie towarów różnemi manowcami dosyć się często dzieje, ile że wzdłuż granicy obok komory rozciągająca się wieś osadników (Holendry jak mówią) przejście granicy ułatwia. Czasem się strażnikom udaje połów nie zgorszy, ale to nie zbyt często. Pożegnawszy gospodynię, ruszyliśmy piękną zwirówką przez rogatki komory Pruskiej ku granicy. Szerokie pola rozciągają się za Strzałkowem; konie pędzą na pięknym równym trakcie, który prosty jak gdyby wystrzelił coraz w dali zwężony, niby wstęga czerwona wśród zielonych łąków i łąk, we mgle ginie. Tam, gdzie pozorny jego koniec, pierwszego miasta Polskiego Słupcy wyrasta kościół. Otóż granica! Z tej i z owej strony po nad rowem słupy, a na słupach orły; tu czarny z złotą koroną, tam potworny, rozdarty, przed i po za siebie patrzący, jak gdyby chciał zagarnąć wschód i zachód, Europę i Azyą. Ten wązki pasek ziemi, który się ciągnie w poprzek łąków, od słupa do słupa, ma być przedziałem krajów, narodów, cywilizacji, obyczajów i szczęścia ludzkiego. Spoglądam na ziemię — tu jak tam też zioła, tenże grunt urodzajny, taż zieloność, też dary Boże; patrzę w górę — taż jasność nieba, toż słońce i powietrze tu jak tam; tenże wietrzyk miły szepce i woła: Pan Bóg wszechmogący nie uczynił przedziału, gdzie ludzie, stworzenia jego, zakreślili granicę; ręka Stwórcy nie wzniosła

ścian granitowych, ni lodów odwiecznych na tych obszarach, przeznaczonych dla różniczego plemienia — nie wyrzyła głębokich toni morskich, nie pokryła równin moczarami i bagniskiem, nie zasypała ich piaskiem; żeby były przegrodą zwaśnionych braci, lub zasłoną od zwierząt drapieżnych, a drapieżniejszej dziczy barbarzyństwa. Te i podobne myśli snuły mi się po głowie, kiedyśmy mijali słupy Rosyjskie. Nikt z nas nie przerywał milczenia; tylko woźnica poprawiając czapki od czasu do czasu konie głosem zachęcał do biegu. Pierwsza żyjąca istota (nie licząc kilka wron i jastrzębia ciągnącego w powietrzu), którąśmy spostrzegli za granicą, był to człowiek naprawiający zwirówkę; na kolanach siedząc, wyrwał trawę, którą trakt zarastał. Już się i słupki wiorstowe pokazywały; kształtną gwiazdą z kolorowych granitów, lub kołem z kamieni otoczone były te słupki, co miłe dla oka sprawiło wrażenie; jakaś chędogość, jakiś gust, na wstępie do kraju, przedstawiał się przybylcowi. Już rogatki przy celnej komorze bieleją nad drogą; domek strażnika po prawej ręce sterczy, widać urzędnika w zielonym mundurze, a Moskala szarego, co bramę do raju otwierając, rękę wyciąga po datek, i z pokorą przyjmuje, co mu podadzą. Strażnik z siwą głową, Polak, wychodzi, siada z nami bez ceremonii i jedzie aż na komorę. Wysypują się strażnicy i słudzy, opadną cię jak muchy i nuż rewizya, przetrząsanie całej ruchomości — kuferki, mantelzaki, chustki, pugilaresy i t. d., wszystko oddaj, pokaż, otwórz! Przewracają, szperają, pomieszkają, szukają, jakby na przekorę, raz i drugi, i całą procedurę przedłużają jak mogą, chyba, że datek potrafi skrócić te chwile; bo żadne zaręczania, żadne słowo grzeczne, ni prośba, ni klątwa, ni oburzenie, ni słowo honoru, nie pomoże ci; a rzeczy twoje widzisz na bruku, czystym czy nieczystym, porozrzucane, bez miłosierdzia i względu. Miałem z sobą książeczkę oprawną, pełną rozmaitych szkiców, rysunków, starożytnych napisów i notatek, jakie zwykłem zbierać, gdzie mi się zdarza. Urzędnicy cap za tę książeczkę, która im się w oczy wlepiła, gdym surdut odpiąwszy, kieszenie próżne pokazywał. To co! — Nic takiego. — Otwiera jeden, kiwa głową, daje drugiemu — ten niby mędrszy chce wyczytać to i owo — nie umie — bo starożytne litery — hola, to ja-

kieś podejrzanе pisma. Trzeci starszy bierze, obraca do góry nogami (znać mniej jeszcze był biegły w czytaniu i naukach), marszczy czoło i wręcz mi powiada, że książka musi zostać na komorze, póki naczelnik nie nadejdzie i zrewiduje. — Nie wiedziałem, czy się śmiać, czy obawiać — bo wolałbym być co innego, niż te moje zbiory, w których gustuję, utracić. —

Skończyło się przecież przetrząsanie i myśmy sobie zajechali przed dom przyjaciela. Po godzinie, skłopotany ruszam na komorę po książkę. — Nie wiem, czy ją zrewidował naczelnik, a zrewidowawszy, czy odgadł napisy — ale mi ją oddano. Dowiedziałem się później, że mimo szorstkości, którą urzędnicy celní okazują podróżnym — dosyć dobrzy i uczynni są ludzie, i że się łatwo porozumieć z nimi można. Jak wszędzie na świecie, tak i tu, ręka rękę myje, noga nogę wspiera. Na linii celnej, gdy biedny człek, albo przemycający przechodzi strażnika — trudniejsza jest sprawa. Opłać sówicie, albo rzuć towar, nim cię konny dogoni. — Jeżeli nie widać w polu świadka, strażnik bierze okup, puści cię i pędzi w inną stronę, jak gdyby cię nie widział; w innym razie bez pardonu poprowadzi cię na komorę; tam część konfiskat zapiszą, ale inna przepada. Słupca liche jest miasteczko, bruku mało w niem, złodziejstwa wiele, żydów tylko 3ch, a rumianku, bydła i świń po ulicach huk. Kościołów jest dwa, jeden za miastem drewniany, drugi, Fara, bez wieży. Za dawnych czasów miasto Słupca porządnym być musiało, jak inne murowane a warowne miasteczka w Polsce. Mur opasał całe miasto, najeżony strzelnicami i ozdobny kilką bramami. Skupione domy i ulice tłoczyły się w okręgu miasta nie wielkim, i 8 wież z tego natłoku wysoko w górę wyrastało, uciekając w powietrze, jak gdyby im na bruku było ciasno. Rów otaczał i miasto i mury warowne, pomagając bronić miasta od nagłego napadu waleśających się po kraju wojsk obcych. Patrz widok miasta z r. 1705, zdjęty z obrazu w kościele będącego.

Zdaje się, że te mury miejskie sięgają wieku Kazimierza, króla, który w całej Polsce tyle dźwignął warowni z palonej cegły. Dziś w dwóch jeszcze miejscach poważne rozwaliny i szczątki omszałe owych murów miejskich sterczą nad zasypałym rowem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wolter i Polska.

Pod tym napisem wyszła broszurka, skreślona przez adwokata Paryskiego, pana Cornut. Jest to niejako wyciąg z korespondencji filozofa Fernejskiego z niektórymi głowami ukoronowanymi; w wyciągach tych odbija się cała nikczemność duszy, cała hipokryzja człowieka, który mając co chwila na ustach szumne wyrazy: ludzkość i filozofia, przedrwiwa nieszczęście upadającego narodu, kadzi możliwym, z ojczyzny swęj urąga, a nawet za braćmi swoimi, którzy popadli w niewolę, nie umie, czy niechce przemówić. Prawdziwie zdumieć się potrzeba, jakimi drogami Wolter potrafił być tak opanować umysły, że go prawie jak bożyszcze czczono? byż to wiek do tyła skażony, że lada błyskotki dowcipu, tak oślepiały sąd publiczny, iż nie postrzegał wszystkich sprośności, iż nie potępił tego szatana pychy, nadzanego najzakamienialszym samolubstwem; że za dobrą monetę brał blichtry jego i wierzył szumnym deklamacyom? Gdybyśmy chcieli dziś szukać ideału człowieka bez serca, szukajmy go w Wolterze, a lepiej jeszcze w jego korespondencyach. Wyciąg niniejszy daję dla tych, co go jeszcze uważają za apostoła liberalizmu, za pryncypium destrukcyjne dawnego porządku — tacy, niech się przekonają, że najgorszy dawny porządek, lepszym, wznioślejszym był stokrót, niż wszystko, co z tak brudnej duszy i z tak suchego serca wyjść mogło.

Autor daje na wstępie rys ówczesnego stanu Polski, szarpanej stronnictwami i passującej się z przeważnym wpływem sąsiadów, niemniej rys polityki, jaka rządziła mianowicie Francją za ministerstwa Szoazela (Choiseul). Posłuchajmy, co do ostatniego punktu uwag autora:

„Polska opuszczona przez Szwecyą i Turcyą, zawiedziona przez Austryą, całą nadzieję pokładała we Francyi i Turcyi, które mogłyby ją zbawić, gdyby dwóm tym rządóm nie brakowało wtedy na dzielności odpowiedniej wielkim okolicznościom. Pierwsza usypiała znudzona rozpustą, w drugiej stygło życie.

„Jednakże Francya zdawała się zaraz z początku żywo losem Polski zajmować. Książę Szoazel był wtenczas ministrem; miał on zamiar skorzystać z zapału objawionego w Paryżu i Wersalu dla sprawy Polskiej, mimo szysterstw Woltera i jego uczniów. Jego sposób



Szczątki muru miejskiego. w Tępcy

widzenia był rozległy, aczkolwiek nie zawsze pewny. Plan opierania się koalicji Rosyi, Prus i Anglii, czyni zaszczyt śmiałości jego rozumu. Na nieszczęście dał przystęp przewidywaniom i nadziejom, nie mogącym nigdy się urzeczywistnić. Zbyt wiele ważył współdziałanie Austrii i Szwecyi; sądząc, że ostatnie mocarstwo skorzysta ze sposobności i uwolni się od przeważnego wpływu gabinetu Petersburskiego.

Z tego powodu książę Szoazel mniemał, że Rosya mając przeciw sobie konfederatów, Turcyę i Szwecyę, zostanie wstrzymana, i że Prusy mając przeciw sobie Francyą i Austryą, okażą się obojętnymi. Co się tycze Anglii, zamysłał zatrudnić ją w Ameryce, gdzie kolonie od dawna niecierpliwie znosząc jarzmo metropolii, myślały o wyswobodzeniu się; a wreszcie, gdyby i to nie odniosło skutku, chciał jęj wydać wojnę morską razem z Hiszpanią. Szoazel śmiały w planach, lecz słaby i nieperzadny w wykonaniu, nie umiał podeprzeć wielkości swoich zamysłów wielkością poświęceń. Konfederatom posłał tylko pomoc sześćdziesięciu tysięcy franków na miesiąc, z półtoratysiącem żołnierzy, którym dowodził Dumouriez. Dodajmy do tego oddział inżynierów, posłanych na pomoc Turkom do obwarowania Dardanelów, i to już wszystko, co Szoazel zrobił. W podobnych okolicznościach, a jeszcze tak ważnych, interwencya takowa była śmieszną i niegodną Francyi. Upadek tego ministerstwa, którego sława zostanie zawsze wątpliwą, jak wszystkich ludzi tworzących wielkie zamiary, bez przyprowadzenia ich do rzeczywistości, był niemałym nieszczęściem dla Polski. Wstąpienie do ministerstwa księcia d'Aiguillon, zupełnie inny obrót nadało polityce Francyi. Nowe ministerium chciało pozostać opodal od wszelkich spraw Europy. „Gabinet Wersalski,” rzekł książę d'Aiguillon, ambassadorowi Pruskiemu, panu Sandoz, obojętnie patrzeć będzie na wypadki w Polsce.“

Od tej chwili nic nie mogło wstrzymać upadku Polskiego narodu. Francya usunęła się z pola walki, a Turcyja pobiła, sama musiała prosić o pokój. Trzem sąsiednim mocarstwom nie pozostało jak tylko ułożyć się o warunki podziału.

Wtenczas to Ludwik XV. miał powiedzieć, z wyrazem głupiej skruchy: Nie byłoby do tego przyszło, gdybyśmy u steru mieli pana Szo-

azela! — Wątpię, aby te słowa wyszły z ust Ludwika XV., zbyt obojętnego i słabego, nawet, aby się odezwać z podobnym życzeniem; z resztą historia pełną jest podobnych zmyśleń, wkładanych w usta monarchów. Przypuściwszy jednak, żeby i tak było, sądzę, że Ludwik XV. grubo się mylił, i że sam Szoazel, z całym swoim mniemanym geniuszem, nie byłby wypadkom przeszkodził. Czyż nie był pierwszym ministrem, gdy konfederaci wezwali pomocy Francuskiej? Była to jedyna chwila dopomódz dzielnie, a nie czekać, aż ich siły osłabną. Jeżeli wtenczas nie zrobiono nic dla wstrzymania wpływów Rosyjskich, był to dowód albo wielkiej słabości, albo błąd niedarowany; a kiedy pomoc dano w trzy lata później, Francya przez ten czas nie stała się ani bogatszą, ani silniejszą; brakowało jęj, niestety! tego, co u wielkiego narodu może zastąpić bogactwo i siłę, to jest: zamiłowania sprawiedliwości, instynktu do pięknych czynów, i odwagi, rodzącej się z tego instynktu. Wszystko chyliło się ku upadkowi w nieszczęśliwej Francyi. Sceptycyzm filozoficzny i zepsucie obyczajów, zamięciły źródło sił narodu, a technienie wolności nie ożywiało ich jeszcze. — Koniec końców, upadek Polski w świecie polityki nie wzbudził żadnego współczucia, prócz mdłego westchnienia monarchy, zbudzonego tym upadkiem na łonie rozkoszy. — A cóż opinia robiła, opinia, królowa świata, ujmująca się zwykle za uciśnionymi, odgadująca prawdę, gotowa zawsze stawać w jęj stronie? Niestety! opinią jeden człowiek kierował. Człowiek ten, którego wyrazy były wyrocznią, który potrafił zająć Europę losem nieznanego męczennika (Calasa); człowiek, który potęgą pióra stał w równi z mocarzami ziemi; który mógł być ująć się za nieszczęściami Polski, stał się panegirystą, dworakiem tych, co jęj śmiertelny cios zadali. W imieniu filozofii powołuję Woltera przed sąd potomności, wywodząc zaskarzenie z własnych jego wyrazów.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Bł. Prandota z Białaczowa, Biskup Krakowski.

(Ciąg dalszy.)

W r. 1260 wodzowie Tatarscy, Teleboga i Nogaj, z szarańczą dzikiej hordy wpadli do Pol-

ski; do których Jadźwingowie wraz z Litwą, Rusią i Prusakami przyłączywszy się, najwięcej pomogli do owego spustoszenia, którego ślady w województwach Lubelskiem, Sandomierskiem i Krakowskiem wiekami ledwo zatrzeć się mogły. W owym to czasie, prócz spalonej z najpiękniejszymi gmachami stolicy, prócz zburzenia wielu, a mianowicie w Zawichoście i na Łyséj - Górze klasztorów, prócz obróconych w smutne gruzы licznych i pięknych grodów: miasto Sandomierz ze swym zamkiem najwięcej ucierpiało. Sama zatem Polska piersiami swemi powtórnie już zastąpiła przygotowaną całemu chrześcijaństwu klęskę: sama krwią, jeńcami i majątkami swemi chciwego i okrutnego Tatarzyna zasyciła. (1) Smutny to i okropny był na ów czas stan Polski; w ludnej, kwitnącej niedawno krainie, pusto, głucho. A mieszkańcy jéj? — oto martwe ich ciała po drogach, po polach rozsiane; inni w nurtach Sann i Wisły potonęli; innych mnóstwa dziki pochaniec powlokł na odległe Azyi stepy; innych nie wielu w ościenne pierzchnęli kraje, a reszta? — oto po lasach, po niedostępnych tułają się bagniskach. Bezsennością, głodem znękan, na pół umarli, nieśmiało, trwożliwie wychyliwszy się z swych kryjówek, obaczają swe domy, świątynie odarte, spalone, albo w gruzach zasypane; dzieci, rodzice, przyjaciele i krewni, albo już w srogiéj jęczą niewoli, albo okropne na ich zwłokach rany świadczą, jak męczeńskim zgonem to życie zakończyli. — Wtém jakiś poważny kwapi się starzec i drżące ku nim wyciąga ręce. Poznają go; ich to anioł pocieszyciel, ich ojciec, biskup Prandota. „O dziatki moje,“ zawoła, „ręka pańska dotknęła nas. Znać, że nasze przewinienia ciężkie były, kiedy je takie ukaranie spotkało. Zaczém poprawić się, a nie rozpaczać, nie bluźnić mamy. Zasmucił nas Ojciec niebieski, więc i pociesz. Opatrzność jego nakarmił piastwo powietrzne, i wszystkiemu stworzeniu w czasie przynależnym daje pożywienie; toć i nas nie pomorzy. Bóg dał, Bóg wziął, niech będzie imię Pańskie błogosławione.“ — Prandota słuchając głosu Zbawiciela, „coście uczynili jednemu z tych braci moich najmniej-szych, mnieście uczynili;“ (Mat. 25, 40.) wszy-

stko co mu od grabieży Tatarskiej pozostało, na potrzeby biednych obrócił. Wszystkie tedy w obszernych włościach biskupich folwarki, śpichrze, gumna, otworzył, z których niby z wspólnej spiżarni każdy ubogi dostatnie brał pożywienie. Za przykładem zacnego biskupa poszli możniejsi mieszkańcy, w pośród których pobożny monarcha z świętą małżonką swoją zadnemu w chrześcijańskiej miłości bliźniego uprzędzić, ani przewyższyć się nie dał. Jak zwyczajnie w każdym nieszczęściu, tak i po okrutnej klęsce Tatarskiej zwrócili ludzie serce i umysły ku niebu, a pokutą i ostrością życia starali się uśmierzyć i rozbroić gniew boży. Podczas takiego usposobienia umysłów, sekta Biczowników (flagellantium), świeżo w Perugii od Rajnera, pustelnika, zaszczipiona, bardzo snadny w r. 1261 do Polski znalazła przystęp. Ostre tego samotnika życie, odpowiadało nauce jego, w której największą doskonałość chrześcijańską na publiczném katowaniu ciała zakładał, a nawet twierdzić poważył się, iż ktoby tego rodzaju pokuty przynajmniej przez miesiąc nie chwycił się, zbawionym być nie mógł. Jakoż ledwie rok minął od zjawienia się téj sekty, a już całe Włochy, Niemcy, Węgry i Czechy, a za ich przykładem i Polska, rachowały tysiącami naśladowców Rajnera. Rolnik, rzemieślnik i najemnik, zapalony nowością nauki, opuszczał lemiesz i warsztat, a zapomniawszy o powinnościach stanu swego, zapisywał się do bractwa, które oprócz ułatwienia ciasnej do nieba ścieżki, lekkie w hojnych jałmużnach zapewniało mu wyżywienie. Bezwstydnosć, gwałty i napaść, nie mogły się ukryć pod worami pokutnymi; a próżniactwo zrodzonych do pracy i przemysłu ludzi, groziło krajowi powszechną klęską. Wzięły się zatem spólnie za ręce duchowne i świeckie władze na wykorzenienie téj zarazy. Biskupi, jako to w Polsce Janusz, arcybiskup, i Prandota, bisk. Krak., ostrzegli powierzone sobie owczarnie o zwodnictwie i fałszach nowych apostołów; urzędy zaś świeckie zagrożiwszy im karami cielesnymi i więzieniem, oswobodzili od tych okrutnych skutków ojczyznę naszą, których sąsiedzkie kraje długo jeszcze doznawały. (2)

Za rządów Prandoty biskupstwem Krako-

(1) Ostrowski, Dzieje i prawa kościoła Pol. Tom II., p. 175.

(2) Ostrowski, Dzieje i prawa kościoła Pol. Tom II., p. 180.

wskiem, przybyły na uposażenie tegoż, znaczne dziesięciny, dobra i swobody. Jakoż Bolesław Wstydlivy, wynagradzając dochowaną sobie wiarę Prandoty z całym duchowieństwem w czasie burzliwych Konrada Mazowieckiego napadów, darował Prandocie i kościołowi jego w r. 1243 część wsi Bolechowice, o milę od Krakowa położonej. Na zjeździe pod Chrobrzem w roku 1250 nadał Prandocie dziesięcinę soli z żup Bocheńskich. W roku 1252 na wiecach w Oględowie, w roku 1254 na wiecach w Chrobrzu, a wrok później w Zawichocie nadał biskupowi i kapitule Krakowskiej różne swobody, a mianowicie zaś duchownych i ich ludzi z pod sądów świeckich wyłączając, wskazał przez kogo wymierzone i komu płacone kary sądowe być miały. (3) W r. 1255 Bolesław Wstydlivy, na wstawienie się siostry swjej Salomei, niegdy królowej Halickiej, a podówczas już zakonnicy, wszystkim włościom do kapituły Krakowskiej należącym, zupełne nadał swobody. W krótkce, bo w r. 1258, tenże monarcha na wiecach pod Sandomierzem, wszelkie swobody, jakie poprzednicy jego szczególnym kościołom ponadawali, do wszystkich w ogólności kościołów: katedralnego, kolegiackich, parafialnych i zakonnych, rozciągnął: biskupa, kapitułę i wszystko duchowieństwo od wypraw wojennych uwolnił, to jedno warując, aby w czasie nagłego napadu Litwinów, biskup Krakowski z klucza Kieleckiego i Tarczencińskiego ludzi swych przeciwko nieprzyjacielowi posyłał. — Jak Prandota swych znakomitych dochodów używał, wspomnieliśmy wyżej; jak

(3) Jak to Dyplomata oryginalne w archiwum kapituły katedr. Krak. wskazują.

stawał w obronie praw i zaszczytów biskupstwa swego, obaczmy teraz. — Arcybiskup Strygoński zajął część dyecezyi Krakowskiej z niemłą dla biskupa Krak. szkodą i ubliżeniem. Prandota użalał się na to przed papieżem Innocentym IV., który pismem swym, danym z Lugdunu dnia 19. Lutego 1247 r., porucił dziekanowi Wroclawskiemu, aby zajęcie o granice pomiędzy archidyecezyą Strygońską a dyecezyą Krakowską zbadał i rozsądził. Jaki wyrok w tej sprawie przez sędziego delegowanego był wydany, nie ma dowodów w archiwum kapituły Krak. — Zdaje się jednak, że spór nie był natenczas stanowczo załatwionym, bo się jeszcze później pomiędzy Nankierem, bisk. Krak., a Bolesławem, arcybiskupem Strygoń., ponowił. Lecz gdy pierwszy na biskupstwo Wroclawskie, a drugi do wieczności się przeniósł, za ich następców Prot, przełożony klasztoru Norbertanów w Czarnowasie, w dyecezyi Wroclawskiej, od Stolicy apost. do rozsądzenia tej sprawy delegowany, zjechał do Cieszyna, i tam w klasztorze Dominikanów sąd postanowiwszy, na dniu 12. Lutego 1332 roku wydał w tej sprawie ostateczny wyrok, mocą którego Podolin, Gniazdo, Lubowla i in-sze wsie, znajdujące się na przestrzeni, w tymże wyroku opisaniej, biskupstwu Krak. przysądzone zostały; zaś arcybiskup Strygoń. za dochody z tych posiadłości powzięte, summę 2,200 grzywien wagi i monety Krakowskiej, biskupowi Krakowskiemu zwrócić i prócz tego 175 grzywien groszy kosztów processu zapłacić był obowiązany. — Dodać tu jeszcze należy, że Innocenty IV. wyjął Prandotę z pod zwierzchnictwa delegatów apostolskich, tak, iż na przyszłość żaden takowy delegat nie mógł go w urzędowaniu zawiesić, ani kłatwy, ani żadnej in-szej kary przeciwko niemu wymierzyć, bez wyraźnego i umyślnie na ten cel danego upoważnienia Stolicy apostolskiej.

(Dokończenie nastąpi.)

Zeszyt pierwszy, Roku trzeciego pisma miesięcznego: *Kościół i Szkoła*, zawiera następujące artykuły:

I. Rzeczy dotyczące się naukowości i wychowania: Nowy rok. Święto Trzech Króli. Różnica Chrześcijaństwa u Greków i Rzymian a u Germanów. List do Redakcyi z podróży, zawierający niektóre zachwyty z nad Sekwany, Renu i Aary. Wyjątki z ksiąg księdza Piotra Skargi (Pawęzkiego) i księdza Fabiana Birko-wskiego, dwóch największych Polskich kaznodziei, zebrane dla wskazania wzorów pięknego języka Polskiego i wielkiej wymowy. Język (dalszy ciąg). — II. Ważniejsze zdarzenia lub ustawy dotyczące się szkół: Obwieszczenie władz szkolnych w Szląsku, dotyczące się poświęcających się zawodowi nauczycielskiemu. — III. Literatura: Treść dziejów kościoła Polskiego i wykaz zbiorowy prawodawstwa politycznego i kształturyządu w Polsce, przez X. G. Uwagi i przykłady przeciw dręczeniu zwierząt. Książeczka poświęcona dla ludu. Pielgrzym w Dobromilu, czyli: Nauki wiejskie. Część I i II. Dzieje starego i nowego przymierza dla użytku szkółnej młodzieży opowiedział X. Antoni Tyc. Niedzielne wieczory starego stolarza. Powieści dla rzemieślników. — IV. Rozmaitości. — V. Wiersze różne. — Korrespondencya.

Pisma tego nabyć można po wszystkich król. Urzędach pocztowych i Księgarniach krajowych i zagranicznych, za cenę półroczną 1 tal., czyli 6 zł. pol.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie.

(Redaktor: Dr. Szymański.)